

Anna Piliszewska

Anioły

Jesień przychodzi bosa, z motkiem srebrnych
pajęczyn. W sadach rdzawe ulewy
opadających liści – i płatki astrów
rdzewieją.

Ręka pisarza stawia
rzędy liter, zdziwionych melancholią wieczorów.
Ćmy trzepocą – jaskrawe i drążące w okręgach światła.
A za oknami księżyc: siwieją dostojne drzewa...

To co mija i boli
ubiera się w kir szarości. Lecz gdy oko natężasz,
dostrzegasz kształty i cienie.

W koloraturach czasu, w podskórnych szczelinach
wspomnień, turlają się perły
wzruszeń – i echa zwierząt i osób, delikatne szelesty
sadów, roniących we śnie słodko-cierpkie owoce.

Śródpolne, ciche anioły
mają zielone suknie, ich szelestliwe skrzydła
kruche i postrzępione z wiatrem, z deszczem
łopocą

– poczekaj, chwilę poczekaj:
wnet zamienią się w ptaki. Rzuć im garstkę
okruchów, otul myślą, a będą

dla ciebie śpiewać...

Nasłuchiwanie

Zachodzi słońce – fioletowieje przestrzeń, liście krążą
w powietrzu. Stogi siana i łąkę przenika
przejrzysta mgła.

Babka ma młode oczy i z warkocza koronę, żółtą
chustę na plecach, rdzewiejącą od światła. Obraca
korbą przy studni – porusza zmurszałe tryby
sekretnego zegara – wskazówki cofają czas. Kręć się

dźwięczna melodio konwi, cynowych wiader, teraz
gdy niewyraźne
twarze młodnieją chyłkiem i drzewom ubywa słoń. Z prochu
powstają cienie i prostują swe kształty. W izbie skrzypci
kolebka, wyrzeźbiona przez dziadka. Snuje się
kołysanka. Uśmiechają się

święci na skurzonych obrazach, a pod przydrożną gruszą
przysiada śródpolny anioł na omszałym kamieniu –
znowu liczy cierpliwie zamszowe, senne godziny. Błogosławiony
wieczór gładzi pierzastym skrzydłem, a sen

turla się miedzą jak zaśnieziały grosik. W graniu
barw i szelestów dzień ubywa ukradkiem, gdy rudy motek
słoneczny osuwa się za horyzont – wieś ozdabia się
rosą: szklą się dywany traw. Jeszcze

stoimy z siostrą,
nasłuchując w ogrodzie żab i polnych koników,
szmeru liści, odgłosów jakie przynosi powiew. Czekamy
na powrót dziadka, na pełnię

dźwięków, oddechów i cedzących się wspomnień. Milczymy
do siebie
w zmierzchu, aby nic nie uronić – dopóki się nie napełni
pamięć po same brzegi świętym echem
dzieciństwa, niczym gliniany dzbanek – ten sprzed lat,
ten stłuczony...

Słowiki

Nie chowaj, siostrze, pamiątek:
bibelotów, pierścionków, jedwabnej apaszki matki
ani obrączki ojca
w okutej, opasłej skrzyni, skazanej
na sen cierpliwy
– na strychu kurze i ciemność, nietoperz
przefruwa nocą...

Nie mów, że boli pamięć
i milczenie przedmiotów, że zaśniedziały medalik
upomina się niemo o czas chyłkiem umarły,
że talerze z fajansu i bezuche garnuszki
przeturlały się

w przestrzeń pełną ech i pajęczyn,
a tamci, którzy je kładli na wyblakłej ceracie
nie uprawiają już ziemi – i mgły płyną przez ugór
zarośnięty pokrzywą nieodwracalnej ciszy.

Sięgnij pod warstwę próchna,
a namacasz korzenie. Spójrz,
za granicą snu
znowu w kącie ogrodu wyrasta
z próchnicy smutku
krzew ściętego jaśminu – mówisz, że nie potrafisz
stąpać boso po ostrzu
brzytwy martwego czasu...

A cienie ptaków
fruną – próbują śpiewać...